Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Konto czekowe Poczt. Kasy Oszczędności Nr. 150.709. **Cena N-ru 200 Mkp.**

Wydawn. ROK 54 KRAKÓW, DNIA 17. WRZEŚNIA 1922. Nr. 38.

DJABEŁ

Prenumeratę, listy, artykuły należy nadsyłać pod adresem
WYDAWNICTWO TYGODNIKA „DJABEŁ“
WŁADYSŁAW BABUCHOWSKI
Kraków, ul. Niecała 4.
Cena egzemplarza 200 Mkp.

PRENUMERATA W KRAKOWIE I NA PROWINCYI WRAZ Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ:
MIESIĘCZNIE 800 MKP
Cena egzemplarza 200 Mkp.

WYCHODZI CO SOBOTĘ.

TYGODNIK SATYRYCZNO-HUMORYSTYCZNY, ILUSTROWANY.

JOASIA PŁACZE, JAŚ SIĘ ŚMIEJE.



Grek, nie Anglik, wziął od Turka cięgi po łbie i po łapie
Nie Anglika, ale Greka z Małej Azji Turek pędzi,
Jednak Lloyd George w tylne części z smutną miną wciąż się drapie,
Widać że w tej okolicy coś go bardzo silnie swędzi.
Za to Francuz w głos się śmieje, że Anglicy, z cudzej miski
Chcąc nasycić swój apetyt, poparzyli sobie pyski.

OD WYDAWNICTWA. Z powodu olbrzymiego podniesienia kosztów druku i papieru podwyższamy prenumeratę i cenę pojedynczego egzemplarza na 200 Mkp.

O ile P. T. Abonenci nie otrzymali poprzedniego numeru uprasza się o wczesne wniesienie reklamacji.

Całoroczna prenumerata w Ameryce kosztuje 4 Dol.

Od Wydawnictwa.

Do Szanownych P. T. Prenumeratorów.

Prenumerata Tygodnika „Djabeł“ wynosi wraz z przesyłką pocztową miesięcznie 800 Mkp.

Adres wydawnictwa tygodnika »DJABEŁ«:

Władysław Babuchowski, Kraków ul. Niecała L. 4

WICEK SOCJALIK.



A tom sie psiokrew doczkał nagrody za moje psiokrew dwudziestopińcioletnie grypsanie lo dobra narodu! [1]) Akurat w ten mój psiokrew rok jupileuszowy ceka rząd warsiawski nowakowy mo ci wydać befel coby od pirszygo października aże do wyborów syjmowych nie sprzedawano psiokrew w kirniach nijakij trunkowości, choćbyś, chłopie, mioł najstrasznijsze pragninie, choćbyś z nigo beł psiokrew umirający, choćbyś z niego skrepiruwał. Na samom wiadomość o tym psiokrew nowym zamachu na najświntsze przekonania narodu trunkowygo, dostałem takij psiokrew trzęsionki, jakbym psiokrew nie drukowanygo, ale prawdziwygo djobła, z rogami i ogonem, a nawyt samygo ancychrysta beł widzący. I ni mogę se nijak dać rady, choć mi Siapsia do każdyj blachy dosypuje psiokrew chininy, która na frybrę mo być najlipsza.

Nie kapuję ino gdzie beł psiokrew Ignac, patrun uciemiężonygo narodu, coby na taki befel nowakowy pozwoliństwo beł dający. Nie kapuję gdzie beł posył miszczański Rosset, który sam w syjmie pedział co nie jezd za kołnirz wylewający. Gdzie beł posył Wójcik, który psiokrew z przekunania beł zawsze wierny wilgoci? Gdzie beł pan Federowic, który bez trunkowość nafasował milijony, a bez onych milijonów nie ostałby psiokrew ani posłem, ani prezydentem?

Ferdyk peda, co jeich nie beło w Warsiawie jako że psiokrew syjmu tero nimo i mo tyż Ferdyk nadzieję, co na syjmie, który za kielka dni mo być otwarty, wszystkie te posły i jeszcze jensze stanom psiokrew w obronie najświntszych przekunań i pusknom Nowaka z jego psiokrew kabinetem na zielonom trawę. Ale trzo coby naród jeich poparł, trzo psiokrew zwołać wiece i na onych zbiegowiskach morowo hańbować i krzyczeć: Do bani z Nowakiem! precz z rządem! precz z klerykalizmem! hańba weteryniarzom! do chrzanu z Paderewskim! hańba endekom! niech żyje Belwedyr! niech żyje trunkowość! wiwat blacha!

A no Ferdyk mo recht co trza zwoływać zbiegowiska. Ino nie miarkuwałem, jakom z onym zatraconym befelem Nowakowym majom wspólność jendecy, klerykały, Belwedyr i Paderewski, ale mi Ferdyk beł tłumaczący, co nijakie psiokrew międzynarodowe zbiegowisko bez hańbowania jendekom, klerykałom i Paderewskimu i bez honorowania Belwedyru obyńść sie ni może, bo taki jezd psiokrew 114 paregraf regulaminu zbiegowiskowego, przez Ignaca zatwierdzony i w warsiawskim Moniturze ogłoszony.

[1]) Pierwszy monolog Wicka Socjalika ukazał się w r. 1897.

GDY CUD SIĘ ZIŚCIŁ.

Jeden tylko, jeden cud
Z szlachtą polską polski lud.
Z. Krasiński.

Doczekaliśmy tego cudu,
Którego pragnął wieszcz natchniony.
Bo obok szlachty dziś miljony
Pracowitego stają ludu —
I w zgodzie bratniej, wolni waśni,
Dawnych wyrzekłszy się niesnasek,
Jakby w czarownej jakiej baśni
Chłop z panem razem ciągną pasek.

Jastrzębiec z Bartkiem, Poraj z Kubą
Każdy ojczyznę kocha lubą,
Wspólne dziś głoszą ideały,
Każdy trud niesie dla jej chwały;

Każdy ją widzieć chce bogatą,
Mającą złota niby piasku,
Więc czy to zima, czy to lato
Pracują razem szczerze w pasku.

Tak Grzymalita, jak Onufer,
Podnoszą zgodnie ceny zboża,
Bo marek (taka wola Boża)
Każdy ma pełen z czubem kufer;
Ten sto miljonów, ów pięć tylko
Chowa w chałupie pod zatrzaskiem...
Rośnie bogactwo z każdą chwilą
Zapracowane zacnie paskiem.

Kiedy ziemniaków wagon sprzeda
Ślepowron szampan w gardło leje,
A Kogucina modnie mdleje,
Jeśli brylantów chłop jej nie da;
Automobil ma Jelita,
Co w mętnej wodzie ryby łowi,
Maciek o cenę „Wólki“ pyta
Dzięki sprytowi i paskowi.

Szlachcic się wykpił od daniny
Jednym procentem od majątku,
A chłop poprzestał na kurczątku
Dodawszy jajek dwa tuziny.
Więc chwalmy zgodę obu stanów
Co pokazały twarz bez maski;
Niech żyje jedność chłopów, panów —
Gdy cud się ziścił — vivant paski!

By zapobiedz energicznie
Drożyźnianej tej zawiei,
Rząd... tytoniu ceny podniósł,
Zdwoił taksę poczt, kolei...

Za przykładem danym z góry
Poszli wszystkich branż paskarze,
Jadłodawcy, szewcy, krawcy
I rzeźniki i piekarze.

A wszystkiemu winna słota
Pełna wody, zimna, dreszczu,
Ceny bowiem tak jak grzyby
Rozwijają się po deszczu.

Ale choćby nawet niebo
Dało nam pogodę ładną,
Wszystko może sobie opaść
Ale ceny już nie spadną.

Bądź spokojny o to człecze,
Nie trać ducha, ani weny
Bo choć portki z ciebie spadną
To nie spadną nigdy ceny.

Choćby nawet miljonowym
Los obdarzył ciebie spadkiem
Miljon wkrótce pryśnie, a ty
Będziesz świecił gołym nosem.

Z CHWILI.

Plebiscyt „Kurjera“ na 12 najsławniejszych mężów z każdym dniem szersze przybiera rozmiary. Liczba biorących udział w tym plebiscycie dosięga już 6000. Mówią, że Kurjer jest jako herbata od Grossego, bo dobrze głupich *naciąga.*

Niema nic tańszego pod słońcem jak nasze koleje. Bilet trzecią klasą pociągiem osobowym do Lwowa kosztuje tylko 3100 marek, to jest tyle co kosztuje obecnie 18 maleńkich paczek najordynarniejszego tytoniu fajkowego po 170 m. Ponieważ zaś cena takiej paczuszki wynosiła przed wojną 4 centy — przeto, biorąc pod uwagę ceny przedwojenne, płacisz za podróż z Krakowa do Lwowa 72 dawnych centów!

Prezydent gabinetu dr. Nowak przyjeżdża co chwila incognito do Krakowa. Widocznie dużo ma wolnego czasu. Wtajemniczeni twierdzą, że celem jego częstych wycieczek jest pobieranie początków polityki w seminarjum prof. Estreichera.

SURSUM CORDA.

Wciąż drożyzna pędzi w górę
Coraz szybciej, coraz lepiej —
Niezadługo będą u nas
Ceny takie jak w Sowdepji.

AKTOR, KTÓRY UMIE BYĆ MĘŻCZYZNĄ.

Do czego dochodzi głupkowata reklama, świadczy następujący wycinek z pewnego pisma warszawskiego:

„Pan Junosza Stępniowski jest bodaj jedynym aktorem polskim, który umie być mężczyzną, a już z pewnością żaden inny aktor nie umie być mężczyzną w tym stopniu. Może w tym właśnie tkwi tajemnica upojeń, jakie daje ten znakomity artysta. Dziewięćdziesiąt procent alkoholu męskości!“

(W. Gr. Kurjer Poranny).

Niewiadomo, kogo bardziej żałować: czy warszawskiego bubka-recenzenta, wypisującego zapewne pod wpływem alkoholu takie brednie, czy redakcję, która te brednie drukuje, czy nareszcie artystę, będącego przedmiotem tak niesmacznej reklamy. *Fis.*

TĘGA GŁOWA.

— Wiesz, dopóki była wojna orjentowałem się nieźle. Gorzej już było od powstania Polski. Jeszcze za Paderewskiego szło mi jako tako. Już za Witosa zacząłem tracić orjentację, za Ponikowskiego nic już nie rozumiałem, a teraz za Nowaka zgłupiałem do reszty.

— No, no, toś i tak długo wytrzymał.

KOŁO BEZ WYJŚCIA.

— Dlaczego pan nie korzysta z urlopu, panie radco?

— Widzi pan, to jest taka sprawa: jeżeli nie zażądam zastępcy, to pomyślą, że nic nie mam do roboty; a jeżeli go zażądam, to on się łatwo przekona, że nic do roboty nie mam. Więc wolę nie brać urlopu.

KALEMBURY.

Przed rokiem zbliżyły nas *nastroje*, a teraz jest *nas troje.*

Pomiędzy kowalami a poetami zachodzi to podobieństwo, że kowale *konia kują*, a poeci *koniakują.*

DONŻUAN.

Zmarły przed kilkunastu laty głośny komik sceny krakowskiej Ekier chwalił się, że miał kochanki wszystkich ras i narodowości.

— Więc miałeś kochanką i murzynkę? zapytał go z uśmiechem przyjaciel.

— No, murzynkę czystej krwi nie, ale prawie murzynkę, bo miałem stosunek miłosny z córką kominarza.

LXXX. LIST KACPRA KRUPY,

WSPÓŁPRACOWNIKA „DJABŁA" z LONDYNU.

Marjenbad, we wrześniu 1992.

Wielebna Redakcjo!

Zajechałem do Marjenbadu, gdzie sądziłem, że spotkam się z delegatami małej ententy i będziemy mogli wspólnie załatwić ważne sprawy europejskie, a mianowicie: Galicji wschodniej, bankructwo Austrji i moratorjum Niemiec. Przyszedłem jednak do przekonania, że to się może nie uda, gdyż natrafiłem na wielki opór ze strony angielskich delegatów, którzy szczególnie dla mnie są nieprzychylni. Dlaczego Anglicy tak dla mnie i dla całej Polski są nieprzychylnie usposobieni, dotychczas nie wiedziałem, a teraz cała sprawa mi się wyjaśniła. Otóż, jak to już podałem w moim ostatnim liście, przed laty byłem w Marjenbadzie razem ze zmarłym obecnie angielskim królem Edwardem i piliśmy obaj Kreuzbrunna. W Marjenbadzie oprócz kilku mineralnych źródeł jest nieskończenie wielka ilość klozetów, którymi całą Europę możnaby zaopatrzyć. Klozety te, ze względu na energiczne i szybkie działanie wód mineralnych a szczególnie Kreuzbrunna, są ogromnie potrzebne i pomimo ich wielkiej liczby bezustannie bywają zapełnione. Na dzierżawie tych klozetów możnaby w krótkim czasie zrobić majątek i dziwi mnie, że dotychczas nie stały się jak u nas tytoń monopolem, bo możnaby tak jak u nas ceny co miesiąc podnosić. Ze źródła Kreuzbrunna ja i król Edward piliśmy wodę. Ja po wypiciu dwóch szklanek udałem się do ostatniego nie zajętego klozetu i drzwi za sobą zamknąłem. Król pomimo wieku i tuszy z nadzwyczajną szybkością biegnąc, przybył za mną i do mego klozetu jedynie wolnego się dobywał. Pomimo, że najpierw klął, a potem błagalnym głosem wołał w różnych językach: Depechez-vous! Spiciatevi! Make hast! Beeilen sie sich! nie otworzyłem, gdyż są w życiu ludzkiem chwile, w których się nawet koronowanym głowom wstępu odmawia. Niemówiąc wiele stało się skutkiem mego zachowania królowi nieszczęście, którego opisywać nie będę, pozostawiając to jakiemuś Szekspirowi przyszłości. Po tym smutnym fakcie oburzenie króla i wszystkich w Marjenbadzie przebywających Anglików było okropne, a gdy się dowiedzieli, że jestem Polakiem, mnie i całej Polsce zemstę zaprzysięgli i dotychczas są dla nas nieprzychylnie usposobieni. Czy wobec tego u delegatów małej ententy będę mógł co korzystnego uczynić, bardzo wątpię, ale będę próbować i o rezultacie doniosę.

Sługa
Kacper Krupa
Kawaler krakowskiej marki ewakuacyjnej Nr. 19780.

MONOLOG SCHMAJGEŁESA.

Już zbliżają sze wibory —
Posłem bicz nie bagatelka —
Kandydować kużden skory —
Brać dyety, korzyść wielka!
No, a przy tej sposobności
Można robić interesa —
Protegować i w krótkości
Będzie marek pełna kiesa!
Ja też chociaż obrzezany,
Zaliczony do mniejszości,
Poczuwam się powołany,
Uzyskać posła godności.
Gdy wybuchła wojne sroga,
Co okropne jej wyniki,
Neutralność moja błoga,
Buła szczytem polityki!
Nikt zarzucić mi nie może,
Że ja wrogi popierałem —
Że poszedłem na bezdroże —
Że ja kraj brzydko zdradzałem!
Ja sobie od obie strony
Z wojne ciągłem zysk nie mały
I byłem zadowolony,
Gromadziłem kapitały.
Przez to też moje działanie
Przeszłością ja nie zbabrany —
Posłem jestem zostać w stanie,
Bom z neutralności znany!
Jako poseł forytować
Będę gruntu pozbawionych —
A panowie rezygnować
Muszą z ziem odziedziczonych.
Grunt dla chłopa — nie dla pana,
Bo un na gruncie pracuje,

Las (to przecie rzecz uznana),
Dać chłopom zaproponuje.
Całe dobra z inwentarzem
Chłop ma dostać, tylko wszędzie
Żyd musi być arendarzem —
Un na każdej wsi zasiędzie.
A to z takiej wielkiej racji,
Że bez żyda Polska cała
Co un nie na propinacji,
Bardzo dziwnie wiglądała.
Bo tak jest, było i będzie,
Co z korzyścią jest, nie szkodą:
Szynkarz na wsi w każdym względzie
Jest właściwie wojewodą.
Również w sejmie przeforsuję,
Bośmy przecie demokraci,
Że się chłopa liberuje
Od podatków — niech nie płaci.
Im będzie tylko jedynie
Paskowanie dozwolone —
Lichwa z której kmiotek słynie
Ustawą nie zabronione.
Oprócz nich to dla piekarzy
Ma wyjątek bicz zrobiony —
Dla rzeźników i masarzy
Przepis lichwy uchylony,
Bo uni jedynie przecie
Co bicz może eksportują —
Handel ożywiają w szwiecie —
Za całą Polskę handlują!
Mój więc program polityczny
Jest dokładnie obmiszlany,
A że bardzo piękny, śliczny,
To posłem będę obrany
Kiedy sejm w wielkiej mnogości
W żydki zostanie brzemienny,
To un zostanie w przyszłości
Żargonowo-suwerenny!

Z TYGODNIA.

(Luźne kartki. — Feljeton składany).

I. Zamiast wódki.

Zakaz sprzedaży alkoholu w ciągu sześciu tygodni, od 1 października po dzień 12 listopada, opiera się na założeniu, że w okresie wyborczym obywatele są już i tak dostatecznie podnieceni.

Wódka daje człowiekowi szereg stanów, których definicje znajdują w naszej mowie potocznej obfity wyraz: Człowiek może być podchmielony, trinknięty, ululany, zawiany, zalany, strąbiony, urżnięty, trącony, podpity, pijany, wstawiony, pod dobrą datą, może być „mortus“ albo „gotów“ i t. d. Otóż wszystkie te stany, odpowiadające różnym dawkom alkoholu i połączone z bardzo rozmaitymi nastrojami ducha, od krańcowej melancholji do szału radości, od zobojętnienia na wszelkie sprawy tego świata do niebezpiecznej furji, — wszystkie te stany dają się wytworzyć nietylko przez wódkę.

W okresie wyborczym olbrzymie rzesze obywateli tracą przytomność. Na każdym kroku słyszy się, jak ktoś mówi niebywałe bzdurstwa, krzyczy nieodpowiedzialnie i bez sensu wymachuje rękami, błaga, zaklina, cieszy się niewiadomo z czego, lub rzuca klątwy, groźny jest i straszny. Rodzi się tysiąc zbawców narodu, miljony wołają: „być, albo nie być!“; jedni nawołują do zgody, inni do walki, czasem zdarza się i strzelanina, a w każdym razie jest dużo pobitych. Doktrynerzy, zapaleńcy, fanatycy, utopiści, demagodzy — ci są wówczas zupełnie pijani.

Tłum słuchaczów i wyborców — zawiany, a hyena wyborcza conajmniej „trinknięta“. Pozostają tylko drobne grupki ludzi trzeźwych, którzy muszą się zdobyć na bohaterski wysiłek, jeżeli chcą opanować przedwyborczy chaos, lub choćby uratować resztki rozumu w narodzie.

Na czas akcji wyborczej nie potrzeba wódki. Bardzo mądry zakaz. Agitacja, mikrob partyjny, lektura odezw, krzyk na wiecu — wszystko to wódkę doskonale zastąpi.

Pewien nałogowy alkoholik siedząc w knajpiej i mocno popijając, tak westchnął: „Mój Boże, ileż to człowiek musi wypić tej wódki przez całe swoje życie!...“

Niech się pocieszy. W ciągu sześciu tygodni nie będzie *musiał*...

II. Pożegnanie kolegi.

Byłem w pewnej knajpie na kolacji. Przy drugim stole „bawiło się“ szeroko kilkunastu jegomościów.

— Stefan! — jeden z nich zawołał. — Jeszcze raz osiem żytniówek. To jest czternasta kolejka — proszę zanotować.

Kelner przyniósł wódki, a dysponent czternastej kolejki zadzwonił nożem w „halbę“ i, powstawszy z trudnością z siedzenia, począł z jeszcze większą trudnością bełkotać:

— Koledzy! Nastała ciężka chwila rozstania się z kolegą naszym, z którym kolegjalnie kolegowaliśmy w jedności koleżeńskiej złączeni... niby matka z dziećmi... jedną stanowiliśmy kolegjatę. Dziś on nas opuszcza... jubilat kochany, sierota wydarty nam... i nikt nie wie, kiedy go znów zobaczymy, i czy go zobaczymy, bo może go już nigdy nie zobaczymy, co dopiero zobaczymy później. Tymczasem w twoje ręce, Jasiu... nie opuszczą cię serca nasze... nie bój się — nie!...

Byłem świadkiem jeszcze pięciu takich kolejek i zalanych oracji. Kilku uczestników tego pożegnalnego bankietu płakało jak bobry. Jeden oświadczył, że wychodzi na stronę, bo mu serce pęknie. Puszczono go, odpiąwszy mu przedtem szelki, aby się nie powiesił.

— Panie — pytam płatniczego — co to za towarzystwo?

— Urzędnicy z banku.

— Długo już tak piją?

— Od rana.

— A gdzież ten... ten tam został przeniesiony? Na kresy? Do Gdańska?

— Ależ nie... tylko dostał lepszą posadę w innym banku krakowskim.

III. Żona Franka.

Nowy urzędnik miał imię Franek — jak się nazywał, nie powiem, aby nie zrobił mi awantury. Wyglądał tak, jakgdyby go ktoś przyniósł w tekturowanem pudełku, ostrożnie wyjął z białej waty, wtłoczył krótki tułów ze zwisającemi nogami w krzesło i wcisnął mu pióro do ręki, niby dziecku w szkole. Wprost trudno było uwierzyć, że ten mały typek z wielką czarną głową nie jest lalką, a prawdziwym dorosłym człowiekiem.

Od pierwszej chwili mówiono o Franku tylko drwiącym tonem. Obydwie dziewczyny, pukające na maszynach, wciąż chichotały, gdy komiczna figurka Franka na krótkich nogach przesuwała się przez pokój. A jednak nie można było o nim powiedzieć, że jest pociesznym bubkiem, z którym można się bawić, nie sprawiając mu przykrości umyślnie i mimowoli.

Już od trzech tygodni pracował Franek w biurze gdy pewnego dnia ktoś po niego przyszedł. A mianowicie jego żona.

Portjer zameldował z naciskiem, że jakaś dama pyta o pana Franka i mówi, że zaczeka, aż jej mąż skończy pracę. Wszyscy słyszeli słowa portjera. I gdy Franek następnie rozejrzał się po lokalu, spostrzegł, że wszyscy porozumiewali się wiele mówiącemi, wesołemi spojrzeniami, mającemi wcale niedwuznaczną treść. „Tę żonę chcielibyśmy widzieć, co? Musi ona ładnie wyglądać! Nie, to pewnie jest prawdziwy unikat!“ Te słowa mniej więcej wyczuł Franek w spojrzeniach. I zrozumiał je dobrze. Do zamknięcia biura pozostawał jeszcze z dobry kwadrans. I tak długo musiała jeszcze czekać jego żona.

Nagle jeden z urzędników, pan Bolesław (nazwisko znów opuszczam, aby mi nie zrobił awantury) — wstał od biurka, bo portjer szepnął mu coś na ucho. Zmarszczywszy brwi — wyglądał wysoce zdumiony i pełen nieufności — patrzał przez chwilę w stronę Franka, poczem potrząsnął głową i sztywnym krokiem wyszedł z lokalu biurowego. Po upływie dwu minut wrócił. Już od drzwi łypał oczyma na Franka; przez chwilę miało się wrażenie, że chce do niego podejść, ale nagle odwrócił się i poszedł do buchaltera. Po kilku słowach, zamienionych szeptem, i ten się zerwał i pobiegł do przedpokoju. Wreszcie zastępca dyrektora również wyjrzał i powrócił, podszedł wprost do Franka, uśmiechnął się doń i rzekł:

— Może pan dzisiaj z całym spokojem wyjść trochę wcześniej, jeśli żona po pana przyszła.

— Prosze bardzo — odparł Franek tak obojętnie, jakgdyby na to czekał. Tak samo, jak zwykle, złożył swe księgi, zamknął szuflady i pożegnał się, jakgdyby niesłychana uprzejmość wicedyrektora była całkiem naturalna i zrozumiała.

— Tam do djabła! — krzyknął wicedyrektor po jego wyjściu.

— Moje uznanie! — dorzucił głośno Bolesław.

I w sekundę dowiedzieli się wszyscy, że ten niepozorny, mały, mizerny Franek posiadał najcudowniejszą, najpiękniejszą, najelegantszą żonę.

Następnego dnia wicedyrektor wszczął z Frankiem ożywioną pogawędkę o sytuacji ogólnej i o okropnem położeniu kawalerów w szczególności. Pan Bolesław i buchalter zaczęli jeszcze tego samego dnia zabiegać o sympatję kolegi, nazywali go „kochanym Frankiem“ i ofiarowywali mu cygara.

Od tej chwlii Franek był sympatycznym, miłym towarzyszem, którego — tak mówili wszyscy — trzeba było najpierw poznać, aby umieć ocenić te wszystkie zalety, które się kryją w nieszczęśliwej — dawniej mówiono inaczej — zewnętrznej powłoce. Franka zapieszczano. Ujmowano mu pracy. Gdy przychodził dyrektor, chwalono przed nim kolegę, tak że zajmował się nim więcej, niż to było przyjemne innym ze względu na awans. Ale w duszy każdy cieszył się na ten dzień, gdy będzie zaproszony do domu pana Franka, gdy będzie przedstawiony zachwycającej, pięknej, młodej żonie tego niesympatycznego, małego potworka. Czyż można było wątpić, że uda się w parę godzin temu niemożliwemu z niemżoliwych mężów przyprawić rogi? Szkoda tylko tego czasu, który pani Frankowa spędzała u swej matki na wsi i który trzeba było cierpliwie przeczekać.

Gdy pewnego dnia dyrektor powołał pana Franka na stanowisko swego prywatnego sekretarza, była to ciężka chmura na horyzoncie, pełnym różowych obłoczków. Wprawdzie nikt nie miał nic przeciwko awansowi, tylko że, zresztą dość słusznie, obawiano się, iż sam pan dyrektor...

Pan Bolesław i buchalter byli w bardzo złym humorze. W tym stanie depresji duchowej przyznali się nawet nawzajem, że obydwaj mieli tę samą nadzieję na względy pani Frankowej. Na złość postanowili przedsięwziąć małą hulankę, aby sobie zdjąć ciężar, przygniatający serce i wątrobę. I punktualnie o umówionej godzinie spotkali się przed kawiarnią.

Kilka kroków od orkiestry siedziała przy pustym stole żona Franka.

Rzucili się w jej stronę, jak szaleni.

— Już raz przepuściliśmy okazję, szanowna pani — objaśniał Bolesław — ale tym razem wcale nie będziemy czekali na męża. Pani pozwoli, że się przedstawimy.

Dama spojrzała na nich z niekłamanem zdumieniem.

— Coprawda, łaskawa pani zapewne sobie nas nie przypomina — tłumaczył buchalter. — Było

to wówczas, gdy pani przyszła do biura po swego męża, a naszego kolegę Franka.

Kaskada śmiechu przerwała wyjaśnienia.

— Ależ, moi panowie! Gotowiście w końcu uwierzyć... No, nie... coś podobnego! Przecie nie sądzicie chyba, że jestem jego żoną! To już wolałabym któregokolwiek z was! Wynajął mnie poprostu do odegrania tej komedji. Wykosztował się na 5 tysięcy marek.

— A któż pani do licha jesteś?

— Ja? Ja... jestem przyjaciółką moich przyjaciół.

Z WĘDRÓWEK PO MIEŚCIE.
(NADESŁANE)

Szanowna Redakcjo!

Przepędziwszy mile wakacje w Zakopanem, musiałem z końcem sierpnia z moją panią i pięcioma dziateczkami wrócić do domu do Piotrkowa.

Po drodze ze Zakopanego koniecznie wypadało zawadzić o Kraków, któregośmy dobrze nie znali. Tymczasem w Chabówce chłopiec roznoszący gazety woła: „Najświższy Djabeł".

„Daj go tu" wołam. W nim wyczytam adresy, gdzie się w Krakowie rozgościć i gdzie coś tanio nabyć można.

Szukam za anonsami hoteli. Żadnego nie znalazłem. A gdzież tu głowę przytulić? Widać za dobrze im się powodzi, aby się inserować.

Wreszcie przy przepłaceniu portjera tysiąc-markowym banknotem wyszukałem, jakieś locum na spanie. Wstawszy rano, idziemy na śniadanie. Szukam we waszych inseratach uczciwej kawiarni. Nie anonsuje się żadna. Cóż u licha? Napotykam tymczasem na anons: „Bar Swojski, Mały Rynek L. 3". „Chodźmy tam" — powiadam.

Przyjęto nas w nim nadzwyczaj gościnnie. Herbatka z rumem — ale jakim — bułeczka ze szyneczką — torcik dla dzieci — a co grunt — wszystko nie drogie.

Podziękowałem najserdeczniej, za uprzejmość gospodarzowi i jego przemiłej pani, zapłaciłem, co należy i dalej w drogę.

Na kocich łbach, którymi zabrukowany jest Rynek krakowski, potknął mi się mój synek Tadzio i poplamił sobie spodenki. Trzeba bodaj od oka plamę wyprać. Wyczytuję inserat: „Fr. Lenert, ul. Sławkowska l. 6". Wchodzimy. — Uprzejmy pomocnik handlowy plamę wyczyścił w mig. Pytam — „com winien?" Bagatela — powiada — „towarzyska przysługa — nic". Zachwycony, zamówiłem na zapas pięć litrów benzyny i parę kilo farb z prośbą, by mi to wysłano za zaliczką.

Dzieciom potrzeba kajetów do szkoły. Znowu zaglądamy do „Djabła". — Jest! „Michał Słomiany, Sławkowska 24". — „Jak Boga kocham" — nie widziałem dawno takiej kajeciarni. Nakupiłem tego bałaganu coś około pięciu kilogramów. Na przyczynek zamówiłem tam dla siebie i żony po setce biletów. Zaimponuje nimi Piotrkowowi! Niech znają pana! Przechodzimy ul. Szczepańską. Zaglądam do „Djabła": „Kazimierz Ogorzały, Szczepańska 11". Przypatrujemy się wystawie. Moja połowica — dobra gospodyni! „Tu tanio" — szepcze mi do ucha.

Nolens-volens — zakupujemy pięćdziesięciokilową skrzynię towaru. Zapasy na zimę. Wyszliśmy na ulicę. Przestraszył nas trochę przejeżdżający automobil Tow. Ratunkowego swojem „Tra-tra", a jak się nam dalej w Krakowie powodziło, opiszę w następnym numerze.

Ze szczerem poważaniem

Pantaleon Przepiórkowski
obywatel m. Piotrkowa.

Do P. T. Prenumeratorów, Agencji i Inserentów Tygodnika „Djabeł".

Dziękujemy najuprzejmiej Wszystkim wyżej wymienionym za łaskawe dotychczasowe poparcie naszego Tygodnika. Z powodu przejścia skutkiem śmierci nieodżałowanego śp. Władysława Borkowskiego naszego wydawnictwa w ręce spadkobierców musimy uregulować w jak najkrótszym czasie wszelkie zaległości.

Dlatego mamy zaszczyt prosić:

P. T. Prenumeratorzy będą łaskawi wyrównać nam w jak najkrótszym czasie zaległe należności za prenumeratę, oraz o ile życzą sobie jej przedłużenia, przesłać należności prenumeracyjne za wrzesień, względnie za miesiąc następny.

P. T Agencje będą łaskawe przedłożyć nam jak najszybciej obrachunki z dotychczasowej sprzedaży naszego czasopisma, jakoteż wyrównać zaległości a po każdorazowem otrzymaniu naszego Tygodnika odsyłać nam egzemplarze niesprzedane w poprzednim tygodniu.

P. T. Inserenci będą łaskawi również wyrównać możliwie szybko zaległe należytości za dotychczas umieszczane anonsy.

Naszą P. T. Klijentelę pozamiejscową upraszamy, aby wszystkie z powyższych tytułów wynikłe restancje, zechciała nam wyrównać przekazami pocztowymi z powodu chwilowego braku konta P. K. O.

P. T. Klijentelę miejscową natomiast prosimy o zgłaszanie się z zaległościami wprost do Administracji naszego wydawnictwa.

W tym też celu podajemy nasz adres:

Administracja Tygodnika „DJABEŁ"
Kraków, ul. Niecała l. 4. I p.

P. T. Interesentów przyjmujemy codziennie w godzinach od 11 do 12 przed południem.

Polecając się nadal łaskawym względom naszych dotychczasowych jak i nowych Przyjaciół, pozostajemy z prawdziwem poważaniem

Za Wydawnictwo: **Babuchowski**

Kraków, dnia 7. września 1922.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Władysław Babuchowski

Zakłady Graficzne E. i Dr. K. Koziańskich w Krakowie.